

Tuszyński, Bogdan

Wojciech Trojanowski (1904-1988)

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 29/2, 95-113

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BOGDAN TUSZYŃSKI (Warszawa)

WOJCIECH TROJANOWSKI (1904—1988)

Urodził się 25 września 1904 roku w Krakowie, w domu Edwarda i Ludmiły z Wróblewskich. Jego dziadek (Zygmunt Wróblewski) był sławnym chemikiem, a ojciec cenionym malarzem pejzażystą i profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Jako bardzo młody chłopak brał ochotniczo udział w wojnie 1920 r., a dopiero pięć lat później ukończył w stolicy gimnazjum im. Adama Mickiewicza. W szkole i sędziwej Agrykoli zapoznał się ze sportem.

„Byłem wysokim i chudym jak tyka dziennikarzem sportowym — wspominał Jan Erdman — on był wysokim i chudym jak tyka zawodnikiem. Należał do Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie, uprawiał lekkoatletykę. Upodobał sobie konkurencję dość dziwną: 110 metrów przez płotki. Wymaga ona szybkości, ale jeszcze więcej precyzji, czyli stylu, czyli treningu i pracy. Płotkarz musi mieć długi krok, aby dystans między płotkami (10 metrów) pokonać trzema susami, i nad płotkiem musi przelatywać niziutko, by nie tracić energii i okruców sekund. Potrafił trenować godzinami, bo ambicję miał ogromną i nie lubił przegrywać. Precyzję techniczną doprowadził do tego, że kładł ołówki na płotku i przy skoku zrzucił go łydką, nie obalając płotka”¹.

Lekkoatletyczna przygoda (był czterokrotnie mistrzem Polski w biegu płotkarskim i dwukrotnie w skoku wwyż oraz wielokrotnym rekordzistą w płotkach) zaprowadziła go do reprezentacji Polski (był na początku lat trzydziestych nawet jej kapitanem), a także na olimpijski stadion w Amsterdamie (1928). Właśnie w roku olimpijskim „zaliczył” jeszcze pół dyplomu na Politechnice Warszawskiej (Wydział Mechaniczny) i... rozpoczął swoje kontakty z prasą. Dziennikarska premiera miała miejsce na łamach warszawskiego „Stadionu”. Kilka jego reportaży z niższej wyprawy narciarskiej wzdłuż Kresów Wschodnich (przerwanej pod sam koniec z powodu roztopów) zostało zauważonych... przez prominentów Domu Prasy, czyli koncernu tzw. „czerwoniaków”. Przyjął zaproszenie do współpracy i w ten sposób w roku 1929 stał się pracownikiem „Przeglądu Sportowego”, którego naczelnym redaktorem był wówczas poeta Kazimierz Wierzyński². Objął dział lekkoatletyczny, w którym niebawem wprowadził, jako pierwszy w Polsce, listy-tabele dziesięciu najlepszych w poszczególnych konkurencjach lekkoatletycznych. Pisał także o boksie, a potem również sprawozdania i reportaże z innych dyscyplin sportu, z wyjątkiem piłki nożnej (domena Jerzego Grabowskiego i Narcyza Susermanna). Z tego okresu także (1929) datują się jego kontakty z mikrofonem PR (jako zawodnik udzielał w Agrykoli wywiadów Józefowi Włodarkiewiczowi). Pro-

¹ J. Erdman, *Świat przez radiowe okulary*, „Wiadomości” [Londyn], 1969, nr 20 (1207).

² W. Trojanowski, *Kazimierz Wierzyński*, [w:] *Ach, jaka szkoda...*, Londyn 1980, s. 91—95.

wadził także dział sportowy w dziennikach „czerwoniaków”, najpierw w „Kurierze Czerwonym”, a po oddaniu tego stanowiska Erdmanowi — w „Expressie Porannym” (aż do 1939 r.). Równolegle, w latach 1931—1939, współpracował z Polskim Radiem. Jego debiut w tej dziedzinie dziennikarskiej sztuki, w której niebawem stał się niedoścignionym mistrzem, miał miejsce 19 września 1931 r. Wydarzenie to odnotował w swoich pamiętnikach w sposób następujący:

„Był to piękny, słoneczny dzień. Niedzielne popołudnie w szczęśliwej Warszawie, na wiele lat przed wojną. Chodnikami płynęła rzeka ludzka, poprzez Wiewską, Piękną i w dół Górnośląską, mijając szkołę Batorego i pustą zupełnie Agrykolę. Kusociński, największy biegacz, jakiego Polska wydała, ma się po raz pierwszy zmierzyć z Nurmim.

I ja także siedłem w tym tłumie, w rękę trzymając walizczkę — biała koszulka, zielone spodnie AZS-u, pantofle z kolcami. Brałem przecież udział w zawodach w międzynarodowej obsadzie, która jednak miała być tylko tłem wielkiego pojedynku Polaka ze sławnym Finem.

Na trybunach tłum niesamowity — 40 tysięcy miejsc nie mieści wszystkich, ludzie stoją przed barierą, siedzą ciasno we wszystkich przejściach i na schodach. Nawet przed stadionem stoją setki ludzi. Ja biegałem jeden z pierwszych, odnosząc łatwe zwycięstwo nad przeciętnymi płotkarzami Finlandii i Łotwy. Zaraz po biegu, jeszcze w dresie AZS-u, wróciłem na trybunę dla zawodników, tam oczekując na wielki ewenement.

Stał tu mikrofon Polskiego Radia, a obok niego redaktor Józef Włodarkiewicz i dwóch moich kolegów klubowych, wyraźnie zdenerwowanych. Okazało się, że po dotychczasowych transmisjach sportowych, które robione były nie przez specjalistów i wypadły bardzo słabo, postanowiono zaryzykować, zapraszając do mikrofonu autentycznych biegaczy z akademickiego klubu.

Pierwszy stanął przed mikrofonem Feliks Malanowski, a że do biegu pozostało jeszcze sporo czasu, więc wygłosił z zamkniętymi oczami pogadankę o Nurmie, najwidoczniej wyuczoną na pamięć. Przygotował się starannie, myślę, że nawet zbyt starannie. Gdy zatem skończył swój tekst, a na boisku nikogo jeszcze nie było, speszył się fatalnie, wybąkał jeszcze kilka słów, a potem machnął ręką i na chwilejających się nogach odszedł od mikrofonu. Doskoczył teraz rezerwowi spiker Józef Jaworski, ale natychmiast owidniała nim taka trema, że ruszał wprawdzie ustami, ale głosu z piersi wydobyć nie mógł.

Wyglądało to tak zabawnie, że wszyscy stojący obok koledzy, a między innymi i ja, parsknęliśmy śmiechem. Wtedy to Józek nagle odzyskał głos i zwracając się do mnie ryknął: »Jakżeś taki mądry, to gadaj sam, idioto!« I on także odszedł, a pan Włodarkiewicz rozpaczliwie zaczął szukać jeszcze jednego zastępcy. Razem z innymi rzuciłem się do ucieczki, ale tłok był taki, że Włodarkiewicz dopadł mnie bez trudu. »To wyście wszystko narobili — krzyczał. — W mikrofonie jest cisza już od kilku minut, pan mi musi pomóc, na litość Boską, niech pan spróbuje!« Po krótkiej, gwałtownej kłótni zgodziłem się, pod warunkiem że moje nazwisko pozostanie w tajemnicy.

Malanowski i Jaworski mieli pecha, bo musieli mówić, gdy się nic nie działo. Ja miałem wielkie szczęście, bo nie zdążyłem się stremować, nie miałem nawet czasu pomyśleć o tym, co robię, gdy trybuny zatrzęsły się od oklasków, a na bieżni pokazał się Kusociński i Nurmi. W chwilę potem padł strzał startera i... świat przestał dla mnie istnieć, radio stało się nieważne, nic mnie nie obchodziło, tylko wynik walki tych wielkich biegaczy. Po prostu na głos przeżywałem moje wrażenia — czego zresztą nigdy już nie zmieniłem w przyszłości.

Oto śmigają po bieżni legendarne stopy Nurmięgo. Fin biegnie zupełnie wyprostowany, łokcie przy żebrach, jak przyrośnięte, lekko tylko faluje korpusem w lewo i w prawo. Biegnie z piętą, płasko kładąc stopy na bieżni. Tuż za nim

»Kusy« — absolutne, krańcowe przeciwieństwo. Mocno pracuje rękami, wysoko podnosi kolana i biegnie na czubkach palców jak sprinter, z zaciśniętymi zębami i z determinacją, którą można było odczuć na odległość, nie popuszczając wielkiego przeciwnika ani o krok.

Statyści zostają daleko w tyle i nikt na nich nie patrzy, tylko na tych dwóch ludzi, jakby związanych sznurem. Mija okrażenie za okrażeniem, napięcie rośnie, a ponad 40 tysięcy rodaków dopinguje swego faworyta.

»Kusy! Kusy!« — wyły trybuny, nikt już nie siedział, wszyscy stali, machając rękami, po plecach waląc pięściami sąsiadów... Ja nadal po prostu automatycznie »myślałem na głos«, pakując w mikrofon całe moje dzikie, chłopięce podniecenie, przeżywając każdy moment razem z tłumem, bezwiednie wciągając słuchaczy w namiętny nastrój widowni.

Nadchodzi wreszcie finisz... Nurmi i Kusociński razem wpadają na ostatnią prostą. Wrzawa na trybunach zmienia się w piekielny, ochryply skowyt, który roznosi się echem aż po Łazienki, aż po spokojne, niedzielne Aleje.

Olbrzymim, krańcowym wysiłkiem Nurmi wysuwa się przed Polaka o metr, o dwa, o trzy i wreszcie zwycięsko przerywa taśmę. Kusociński przegrał po walce wspaniałej, po wysiłku nieludzkim...

Wróciłem do domu przynębiony porażką »Kusego«, który od zwycięstwa był tak blisko. Pocięchą było dla mnie tylko to, że jakoś wybrnąłem z ciężkiej sytuacji w moim pierwszym zmaganiu się z mikrofonem.

Bieg Nurmi—Kusociński był wtedy wydarzeniem sensacyjnym, a zatem audycji słuchano w każdym zakątku Polski. Pan Józef Włodarkiewicz, kierownik sportu w warszawskiej rozgłośni, nie dotrzymał słowa i roztrąbił moje nazwisko. Nagle, z dnia na dzień, dzięki niebывалemu zbiegowi okoliczności, wyrzucony zostałem jak katarpulta na pozycję pierwszego reportera w Polskim Radiu³.

Wojciech Trojanowski zaraz dodaje:

„Złożyło się na to wiele przyczyn. *Primo* — moi poprzednicy byli bardzo słabi. *Secundo* — przedmiot audycji znałem doskonale. *Tertio* — wszystko stało się tak nagle, że nie miałem nawet sekundy czasu, żeby się zdenerwować, czy też wyuczyć na pamięć wyrafinowanego wstępu albo przygotować karteczki z gotowymi anegdotami, dowcipami i różnymi tego rodzaju zboczeniami reportażu. Wyratowała mnie absolutna prostota, jedynie w tych warunkach możliwa. Przemyślałem to całe niezwykle wydarzenie i tej prostocie starałem się zawsze być wiernym”³.

Wojciech Trojanowski w pierwszej fazie swojej radiowej kariery występował przed mikrofonem PR na różnego rodzaju zawodach. „Technika” pracy była zawsze taka sama: stawał na trybunie wśród ludzi, wśród tłumu i... opowiadał. Nigdy nie lubił kabin ani szyb, które oddzielałyby go od wydarzeń, zawsze chciał być wśród widzów, co bardzo pomagało mu w oddawaniu atmosfery trybun, właśnie tego, co się przeżywa na meczu, a co nie da się przekazać ani w gazetowej notatce, ani w beznamiętnym, suchym sprawozdaniu. Relacjonował w zasadzie wszystko: mecze piłkarskie i hokejowe, oczywiście lekkoatletykę, ale także boks, szermierkę, jazdę figurową na lodzie, strzelanie, a zwłaszcza tenis. Nieobca mu była także hippika, z której relacjonowania został jednak najszybciej wyeliminowany, kiedy to opowiadał o jakimś jeźdźcu, który dosiadł „białego” (zamiast siwego) konia. Sam zresztą nie chciał robić wszystkiego. Dążył do doskonałości, a więc i specjalizacji. Zupełnie zrezygnował z piłki nożnej, z której relację uważał za najjaśniejsze (w przeciwieństwie do hokeja, który był dla niego najtrudniejszy), a za

³ W. Trojanowski, *Od Konopackiej do Szewińskiej, wspomnienia z 15 olimpiad mojego życia*, Londyn 1974 (nieopublikowany maszynopis w zbiorach autora), s. 40—43.

najwdzięczniejsze tworzywo do dobrej transmisji uznał atrakcyjny mecz bokser-ski⁴, bieg średniodystansowy w doborowej obsadzie, każdy prawie bieg narciarski (w latach powojennych lubił także biathlon i podnoszenie ciężarów), no i „wszystko, co się dzieje na stadionie olimpijskim”⁵. Za „najwdzięczniejszy temat” do reportażu uznał sztafetę 4 × 400 m podczas Igrzysk Olimpijskich z udziałem Polaków. A w ogóle uważał, że jego najsilniejszą stroną jest absolutne zaangażowanie w to, co widzi i mówi, a największym mankamentem brak pamięci do nazwisk i dat.

Reporterska sława Wojciecha Trojanowskiego w drugiej połowie lat trzydziestych była już ugruntowana i ciągle rosła. O jego wyczynach przy mikrofonie pisała prasa⁶ i mówiono o nich w warszawskich... kabaretach. Na jedno wydarzenie warto zwrócić szczególną uwagę.

„Działo się to na kilka lat przed wojną — wspomina Trojanowski. — O ile mnie pamięć nie myli, był to Bieg Narodowy, rozgrywany wiosną na Bielanych pod Warszawą. Zwyciężył Noji, gromiąc setki przeciwników i budząc ciągle potem rosnące nadzieje. Sędziowie czekali jeszcze na maruderów, ustalając kolejność dalszych miejsc na mecie, która znajdowała się tuż nad Wisłą. W moim reportażu radiowym musiałem zapełnić jakoś kilka minut oczekiwania na wyniki, więc odszedłem z mikrofonem na brzeg Wisły, skąd dochodziły odgłosy chóru kumkających żab.

Dla moich uszu jest to przesłiczna, pełna uroku muzyka natury. Na jakiś niezbadany sygnał dyrygenta równocześnie otwierają się tysiące gardziołek, a powietrze drży i faluje od dźwięku tej zmasowanej orkiestry. Nowy tajemniczy sygnał — i pieśń ucięta zostaje jak nożem...

Chwila zupełnie ciszy. Słońce już się chyliło, a wody rzeki, ciągle jeszcze nabrzmiałej po wiosennych roztopach, toczyły się wartko, czerwieniąc się błyskami coraz to ciemniejszych rumieńców. Gdy starałem się odmalować przez mikrofon obraz tej cudownej rzeki, nieba pełnego kolorowych obłoków i sąsiednich wzgórz pokrytych majową zielenią z ust wyrwał mi się okrzyk: »Ach! Jaka szkoda, że państwo nie mogą tego zobaczyć«.

Ludzie się potem trochę ze mnie śmiali, a Lopek Krukowski, podczas swoich codziennych występów w modnym podówczas Café-Clubie, zaczął publiczność zabawiać parodią reportażu sportowego i — rzecz nieunikniona — wpakował tam mój okrzyk w kontekście zmienionym, a dla niego wygodnym: »Proszę Państwa! — krzyczał. — Walasiewiczówna zdejmuje spodnie, jaka szkoda, że państwo nie mogą tego zobaczyć!«

Parodia miała powodzenie, toteż nie schodziła ze scenki Café-Clubu przez długie tygodnie i słyszało ją tysiące ludzi. Po latach rzeka na Bielanych i spodnie Walasiewiczówny splątały się w pamięci ludzkiej, a wielu gotowych było przysięgać, że ode mnie słyszeli to, co im opowiadał Krukowski.

Tak czy inaczej, powiedzenie spopularyzowało się w niepojęty sposób i tak do mnie przywarło, że i w dziesiątki lat później, gdy gdzieś na świecie spotykałem rodaków, to usłyszawszy moje nazwisko uśmiechali się i na znak rozpoznania wykrzykiwali: »Ach, jaka szkoda, że państwo nie mogą tego zobaczyć!«⁷

⁴ W. Trojanowski, *Nerwy przy mikrofonie. Czy chociaż będą nokauty?*, „Przegląd Sportowy”, 1938, nr 99.

⁵ W. Trojanowski, list do autora z 10 IV 1985, s. 4.

⁶ J. G[rabowski], *Mecz „Kusy”—Iso-Hollo na trybunach. Incydent ze speakerem radia*, „Przegląd Sportowy”, 1932, nr 85.

⁷ W. Trojanowski, *Ach, jaka szkoda...*, s. 6—7.

*

Trojanowski (choć był tylko synem malarza, „malowanie słowem” należało do najsilniejszych atutów jego radiowej narracji) miał w czasie transmisji kilka „niezbyt fortunnych sformułowań”, które zostały zauważone i były komentowane.

„Którejś niedzieli stoję przy mikrofonie na trybunach Dynasów. Ostatni etap wyścigu Berlin—Warszawa. Niemcy prowadzą zdecydowanie, ale nadzieja nie gaśnie, bo na złych podwarszawskich drogach nasi „majdaniarze” (rozwoziciele gazet, spośród których rekrutowało się wielu czołowych szosowców), przywykli do kocich łbów, mogą mieć przewagę.

Rekordowy tłum w skupieniu słucha meldunków z trasy. Tuż pod Warszawą nasz majdaniarz o nazwisku Franciszek Kielbasa ucieka Niemcom i zdobywa dość dużą przewagę. Podniecenie, emocje, przez głośniki płyną dźwięki »hymnu Dynasów«, a tłum wielotysięczny chórem podchwytuje słowa: »Bar-ba-ro! Mój cudny śnie!«

Potem przez dłuższą chwilę meldunków nie ma — gonią się po ulicach Woli i Starego Miasta. Wreszcie z dala nadchodzą słabe odgłosy krzyków — ledwie dosłyszalne, ale dla wprawnego ucha wymowne. To okrzyki radości, to ciągle prowadzi Kielbasa!

Te okrzyki dochodzą coraz to głośniejszą falą, ale już koło Zamku zmieniają się w wysoki, nerwowy skowyt. Znowu wiem, co to znaczy — Niemcy siedzą Polakowi na piętach, tłum podnieca go do ucieczki. Coraz bardziej namiętne wrzaski i wreszcie przez bramę od Drewnianej wpada... Kielbasa! Ryk triumfu, ale... tuż z Polakiem, o metrów może dwadzieścia — Niemiec...

Muszą przejechać jeszcze półtora okrążenia po torze. Polak do tego nienawykły, jedzie samym dołem, tuż przy trawie boiska. Niemiec, w tych sprawach obyty, wyjeżdża pod samą górę, pod samą balustradę i traci na tym manewrze parę metrów, ale zaraz potem spada w dół jak jastrząb i odrabia różnicę gwałtownie. Zbiorowy okrzyk, jak grom, zagłusza moje słowa. U-cie-kaj! U-ciekaj!! Uciekaj!!!

Wreszcie ostatnia prosta — Kielbasa jeszcze o pięć metrów z przodu. Później o trzy, później o jeden metr... A ja to wszystko w dzikim podnieceniu ubieram w słowa... Jeszcze tuż przed metą Polak jest pierwszy, ale teraz Niemiec rzuca całą maszynę przed siebie i... wygrywa o pół koła!

Ryk tłumu zamiera, a z moich ust wyrrywają się nieopatrnie słowa: »Psia krew — Niemiec!«

Dostało mi się za to. Reportażu słuchało masę ludzi i owszem, bardzo go chwaili, ale — to zakończenie! Jedni mówili, że to szowinizm, inni pisali (i słusznie), że to bardzo nieśportowo. Miałem wielkie szczęście, że w mojej obronie wystąpił Kazimierz Wierzyński, który w gazecie napisał coś w tym rodzaju: »Trojanowski maluje obraz wydarzeń, przekazując uczucia tłumom, wybuchy radości i jęk zawodu. Przecież po dramatycznym zakończeniu wyścigu z setek piersi wyrwały się słowa na pewno dużo paskudniejsze.«

Ładnie to napisał, a sprawa rychło została zapomniana. W głębi duszy uważam jednak, że pan Kazimierz nie miał racji!⁸

Inna „wpadka” miała miejsce podczas słynnego pojedynku tenisowego pomiędzy legendarnym francuskim fenomenem Cochetem i Maxem Stolarowem i tak ją przedstawił sam Trojanowski:

„Na trybunach centralnego kortu Legii nie ma ani jednego wolnego miejsca, tysiące widzów przeżywają tortury oczekiwania, rozpacz niepowodzeń i płomienną radość zwycięskich zagrań. Max gra jak w transie, Cochet wygrywa jednego seta,

⁸ W. Trojanowski, *Od Konopackiej...*, s. 119—120.

Stolarow dwa. Set czwarty... Po półgodzinnnych zmaganiach 5:4 dla Polaka. Max serwuje... po trzydzieści... potem po czterdzieści... Przewaga Cocheta... znów po czterdzieści... przewaga... Polaka!

Stojąc przed mikrofonem radiowym, mówię w tym momencie, że ambasador francuski w łoży honorowej »gryzie palce«.

Piłka meczowa. Wymiana ostrożnych uderzeń, a wreszcie piękny drajw wzdłuż linii, klasyczny »lenght line« Polaka i pyłki białego kurzu pryskają w lewym kącie kortu... Max w górę wyrzuca rakietę, publiczność szaleje z radości.

Ale oto z miejsca podnosi się sędzia liniowy, który albo się zagapił, albo zapisał, albo po prostu oka na szybkie wydarzenia nie posiadał i ku ogólnemu osłupieniu krzyczy »out«!

Nieprawda, piłka była w korcie! Ryk protestu, tupanie nogami — wszystko na nic. Na krzywdzącą decyzję nie ma rady...

Max załamuje się zupełnie, już traci zwycięski zryw, przegrywa czwartego seta 5:7, a potem przegrywa także i decydujący set. Odebrany mu został największy triumf całej tenisowej kariery.

Były potem reperkusje tego spotkania. Moi przełożeni z Radia czynili mi wymówki za to, że tak niedyplomatycznie się wyraziłem, obrażając ambasadora Francji moją uwagą o »gryzieniu palców«. Specjalny wysłannik odwiedzał go z przeprosinami, na które ambasador — na moje szczęście — odpowiedział wybuchem śmiechu, a w rok chyba później, na bankiecie, sam mnie zaprosił na kieliszek koniaku, wesoło wspominając grzeczne, ale niepojęte dla niego uczulenie przedstawicieli Polskiego Radia⁹.

*

„Ostatnie lata przed wojną — wspominał Wojciech Trojanowski — to najszczęśliwszy okres mojego życia. Byłem młody, miałem mnóstwo przyjaciół, wszyscy moi bliscy jeszcze żyli, a powodziło mi się doskonale. A do tego pracowałem w umiłowanym przez siebie zawodzie, jako dziennikarz i sprawozdawca Polskiego Radia. Miałem już za sobą setki sportowych reportaży [za 250 audycję otrzymał od dyrektora Polskiego Radia pamiątkową „Omegę”, jedyną pamiątkę, którą zdołał uratować z wojennej zawieruchy — B.T.], ciesząc się podwójnie: i z tego, że moja praca spotykała się z uzaniem, a i z tego również, że ciągle mogłem oglądać coraz szybsze postępy naszego sportu.

Zacząło się także spełniać moje ciche marzenie, bo powołano mnie do przeprowadzenia reportaży z innych dziedzin życia; już poza sportem¹⁰.

Warto więc w tym miejscu odnotować, że pierwszy pozasportowy reportaż wykonał Trojanowski z Gdyni, kiedy to witał tam przybyłego z włoskiej stoczni w Monfalcone — „Piłsudskiego” (drugi po „Batorym” polski transatlantycki statek pasażerski). Dumny był z tego reportażu. Kiedy mijał czas antenowy tej audycji, podczas transmisji do ucha przytknięto mu słuchawkę telefonu. Usłyszał głos ministra Pułaskiego i jego słowa: „Mów pan dalej, cała Polska słucha!” Różne robił jeszcze potem transmisje, m.in. ze Stalowej Woli (ostatnia przed wybuchem wojny), gdzie produkowano najnowocześniejsze polskie działo artyleryjskie, ale nas najbardziej interesują sportowe dzieje „króla reporterów”.

Kiedy w styczniu 1939 r. Wojciech Trojanowski wybierał się na kolejny reportaż do naszej zimowej stolicy, Polskie Radio święciło właśnie wielkie wydarzenie, jakim było zarejestrowanie milionowego abonenta.

Cel podróży i jej nieprzewidziane następstwa relacjonuje sam Wojciech Trojanowski:

⁹ *Tamże*, s. 101—102.

¹⁰ W. Trojanowski, *Ach, jaka szkoda...*, s. 9.

„W jubileuszowym, dwudziestym roku powstania nowej Rzeczypospolitej, mieliśmy być gospodarzami FIS-u, czyli mistrzostw narciarskich Europy.

Trzeba było uporządkować Zakopane, które zawsze miało swój ogromny urok, ale wtedy było jeszcze tylko wielką, bez planu zabudowaną wsią i bez koniecznych sportowych urządzeń, poza jedną tylko skocznią. Roboty na wielką skalę były już na ukończeniu i wtedy to właśnie wezwany zostałem do dyrektora Polskiego Radia. Zaproponował mi przeprowadzenie reportażu o tym wszystkim, co się w Zakopanem zmieniło. Podkreślił przy tym mocno, że cały ten reportaż ma być niejako wstępem do przemówienia ówczesnego ministra komunikacji Juliusza Ulrycha. Minister miał mówić o tym wszystkim, cośmy w Polsce w ciągu dwudziestolecia osiągnęli, na zakończenie oficjalnego jak gdyby otwarcia tego nowego Zakopanego, w ładniejszej i bogatszej szacie.

Zgodziłem się chętnie i po paru dniach byłem już w górach. Czekala na mnie radiowa ekipa techniczna z wozem transmisyjnym, gdzie nagrywać miano moje wrażenia — jak to się wówczas czyniło — na miękkich, specjalnych płytach.

Po krótkiej naradzie wzięliśmy się do pracy i — na szczęście — było o czym mówić. Zakopane zmieniło się bardzo. Ulice nareszcie czyste, domki świeżo odmalowane, oświetlenie doskonałe. Do Morskiego Oka prowadziła już nowiutka droga. Koło dworca wyrósł duży hotel i wielkie garaże. Na Kalatówkach nowoczesne schronisko w tyrolskim stylu, projektowane przez mego wielkiego przyjaciela, doskonałego sportowca, zabitego na wojnie Józka Jaworskiego. Nowiutką kolejką linową wjechaliśmy na szczyt Kasprowego i pod wierchołkiem Świnicy wspominałem swoje dawnosiejsze wyprawy, kiedy to w pocie czoła drapać się tutaj musiałem z nartami na piechotę, aby w nagrodę dokonać potem po całym uciążliwym dniu jednego tylko zjazdu. Teraz było tu także i schronisko, charakterem dopasowane do surowego otoczenia.

Pod wieczór wróciliśmy z gór, udając się do podnóża Gubałówki, gdzie nagrałem ostatnie fragmenty reportażu, opisując nową zębatą kolejkę i widoczne z dołu nowiutkie schronisko na szczycie, po czym wjechaliśmy wszyscy na górę. Tu musiałem się szybko przebrać w smoking, bo po uroczystościach otwarcia miał się odbyć bal. Już gwar był wielki i pełno ludzi. Czekaliśmy teraz na przyjazd ministra, aby nagrać to jego końcowe przemówienie.

Oto nadjeżdża wagon kolejki. Wypada z niego jeden z przedstawicieli PR, przerażony, z wypiekami na twarzy. «Panie Wojtku — krzyczy już z daleka — czy panu nikt nie powiedział, że plany zostały zmienione, że przemówienia tu nie będzie? Czy pan wie o tym, że przemówienie już się odbyło u stóp Gubałówki? Minister rozglądał się za mikrofonem, czekał, był wściekły, aż wreszcie machnął ręką i przemawiał do tłumu gapiów zamiast mówić do całej Polski! Skandal!!»

Jezus Maria! — pomyślałem. — Jak się tu teraz ratować?...

W parę minut później nadjeżdża nowy wagonik, wysiada z niego nachmurzony Ulrych. Dawny pułkownik Legionów był członkiem Komitetu Olimpijskiego, a więc znaliśmy się dobrze i na szczęście byłem z nim w bardzo dobrych, niemal przyjacielskich stosunkach. Podbiegłem i łamiąc palce odzywam się nerwowo: «Panie pułkowniku! Zaszło jakieś okropne nieporozumienie. Nikt nas o zmianie planów nie powiadomił. Co teraz robić? Może pan się zgodzi 'odstawić' przemówienie jeszcze raz w jakimś spokojnym miejscu?»

Minister spojrział na mnie ponuro i odrzekł: «Mój drogi chłopcze, jak ja to mogę zrobić? Przecież nie mam żadnego skryptu! Mówiłem z głowy! Powtórzyć się nie da!» Zamarłem w nieszczęsnym milczeniu i tak staliśmy przez chwilę, aż wreszcie spostrzegłem, że twarz pana Juliusza rozjaśnia się uśmiechem. «Albo wiesz co? Spróbujmy! Ale musisz znaleźć takie miejsce, żeby nikt nie widział ani słyszał!!»

Użyło mi... Rozglądam się dokoła — z prawej wejście do hallu, gdzie pełno

ludzi, na wprost — drzwi do sali balowej, gdzie grają już pierwszego walca, na lewo drzwi do kuchni, gdzie słychać donośne głosy i szcęk talerzy. Z tyłu za mną jakieś zamknięte drzwi. Zacięte, z wielkim trudem otwieram. Pokoju tu nie ma, bo budowa schroniska nie była jeszcze skończona. W ogóle nic tu nie ma, tylko ziejąca czarna otchłań i fruujące w powietrzu płatki śniegu. »Tu nie można« — oświadczam i próbuję otworzyć ostatnie drzwi, jakie jeszcze pozostały. Otwieram, ale zaraz się wycofuję i znowu je zamykam. Teraz mówię z westchnieniem: »I tu także nie można...«

»Dlaczego nie można?« — odpowiada minister i sam zagląda do środka, przez dłuższą chwilę przyglądając się przybytkowi, do którego, jak to się mówi, król piechotą chodzi. Potem zamyka drzwi i mówi: »Mnie się zdaje, że można«. Zdziwiłem się mocno, ale że sytuacja była podbramkowa, więc podchwyciłem tę zgodę. »Jak pan mówi, że można, to można!« Widzę, że pułkownik ma w oczach jakieś diabelskie płomyki i domyślam się, że sytuacja niesłychanie go bawi.

Wciągam kabel i wchodzimy do środka. Przed zamkniętymi drzwiami staje na warcie jeden z techników. Miejsca jest mało, a sytuacja dosyć niecodzienna. Na dodatek zbiornik z wodą jest zepsuty i co chwila woda spada z szumem kaskadami. Wchodzę zatem, że tak powiem, na »piedestał« i jedną ręką przytrzymuję żelazne ramionko zbiornika, w drugiej trzymam mikrofon...

Teraz — wprowadzenie. Jeszcze mam w pamięci każde słowo reportażu spod Gubałówki, a więc mówię, że tam jestem, że zapada wieczer, że w ostatnich promieniach słońca rumieniają się jeszcze Czerwone Wierchy, że Kasprowy już się okrywa fioletami nocy, że na Krupówkach zabłyśły pierwsze światła, a tu pod Gubałówką zebrał się ludźcie. Oto — powiadam — pod trybuną już się ustawia konna banderia górali. A teraz wchodzi na trybunę minister Juliusz Ulrych...

Jest to chwila krytyczna. Czy on się teraz nie załamie? Czy zdobędzie się na to, żeby naprawdę dobrze przemówić bez audytorium, w tym bardzo dziwnym miejscu!?

Pułkownik chrząka i zaczyna, a w tej samej chwili ja doznaję uczucia ogromnej ulgi — mówi jak do wielkiego tłumu...

»Obywatele! Zebrałiśmy się tutaj w ten wieczór pełen uroku, w nowym, piękniejszym Zakopanem... I oto na własne oczy możemy zobaczyć, że w tej naszej Polsce coś się dobrego dzieje...«

No i tak dalej. Po-szło! Pułkownik mruga do mnie figlarnie jednym okiem i mówi znakomicie, z każdą chwilą lepiej. Wreszcie kończy i szybko wychodzi, unikając spojrzeń zdziwionych ludzi. Jeszcze tylko trzeba było dokleić z innej płyty końcowe oklaski i puścić wszystko na antenę...

Wybrnęliśmy — uff! Wymasowałem zdrętwiałą prawą rękę, po czym na sali balowej dopadłem ministra: »Panie pułkowniku — powiadam — czy pan pozwoli, że ja kiedyś, w przyszłości, całą tę historię opowiem?« — »Pozwolę, pozwolę, ale nie teraz, niech upłynie trochę czasu...«

No i zdawałoby się na tym koniec historii. Otóż, nie. Następnego dnia byłem już w Warszawie i tu dowiedziałem się, że z tym przemówieniem zaszyły koszmarnie komplikacje. Otóż, na pierwszym przemówieniu na dole byli stenografowie agencji prasowych i tekst przemówienia nadali telefonicznie do Warszawy. Jedne gazety skorzystały z tekstów agencyjnych, a inne, spiesząc się, wzięły tekst przemówienia wprost z głośników radia. Teksty zatem różniły się między sobą, i to bardzo wyraźnie. Pierwsze przemówienie było znacznie krótsze, a że mówione w złości — więc gorsze. Drugie — to ze mną — było dłuższe, a że mówione w rozprawieniu, więc nieporównywalnie lepsze.

Stenografów oskarżono zatem, że albo na przemówieniu w ogóle nie byli, albo że sobie przedtem zdrowo popili, bo przecież tekst radiowy jest zupełnie inny i na pewno autentyczny. Stenografowie zapierali się, przysięgali, bili w piersi, ale gdy

skonfrontowano ich z nagraniem radia — załamali się zupełnie, w ogóle się nie domyślając, jakie to siły piekielne sprzysięgły się, aby ich na manowce sprowadzić...

Natychmiast pobiegiem do Radia, szeptem opowiadając dyrekcji o prawdzie i błagając o milczenie. Stenografom, rzecz jasna, przebaczone i od winy zwolniono”¹¹.

A potem była już ostatnia wielka sportowa impreza, w której czynnie, z mikrofonem w rękę, uczestniczył Wojciech Trojanowski. Był to „FIS—Zakopane 1939”. Warto odnotować, że para polskich reporterów (Trojanowski—Frank) wykonała wtedy po raz pierwszy na „sportowej antenie PR” tzw. transmisję łączeniową. Polegało to na tym, że podczas konkurencji alpejskich Trojanowski siedział przy mikrofonie na Kasprowym, relacjonując start i kawałek przejazdu każdego zawodnika, a kiedy ten ginął z oczu — „przekazywał” go na antenie Frankowi, który z kolei doprowadzał go do mety. Szło doskonale, ale mgła się nasilała i w pewnym momencie Trojanowski poprosił radiostację (studio) w Krakowie, żeby dano im nieco odetchnąć, przynajmniej z 10 minut. W tym czasie oczywiście miano nadawać muzykę. Sądząc, że polecenie zostało przez techników wykonane, Trojanowski stwierdził: „Michał; ja już tak dłużej nie mogę, bo jest tu straszna mgła i od przynajmniej 15 minut nic nie widzę, a cały reportaż to czysta fantazja”. Jak się miało okazać, technik w Krakowie „zasnął” czy zagapił się, muzyki nie było, a cała rozmowa poszła „w eter”. „W taki oto sposób słuchacze w Polsce mogli się dowiedzieć, że ich po prostu długo bujałem”¹².

Ostatnia sportowa „wpadka” przed wybuchem wojny, ale nie ostatni udział Trojanowskiego w imprezie sportowej. Jak się okazuje, wprawdzie już w mundurze wojskowym, znalazł się on 27 sierpnia 1939 r. na trybunie warszawskiego stadionu.

„Nikt. spośród tych tysięcy, które zaległy stadion Legii tuż przed wojną na spotkaniu naszej jedenastki z reprezentacją Węgier, tego meczu nie zapomni — stwierdził po latach. — Nasi chłopcy grali jakby w natchnieniu, wznosząc się na poziom, którego aż do czasu mistrzostw świata w 35 lat później, żaden polski zespół nie osiągnął. Sławna drużyna Węgier, która właśnie w tym czasie zaliczała się do absolutnej elity światowego piłkarstwa — została pokonana (4:2).

Dziwny nastrój pañował na tym meczu. Nikt przecież spokojnie wtedy nie spał, wszyscy byli pełni okropnych przeczuc i bolesnego niepokoju. A jednak... jakaś w ludzi wstąpiła bezsensowna nadzieja, nielogiczny optymizm.

»Jeśli na boisku, wbrew wszelkim kalkulacjom, wbrew wszelkim teoretycznym rozważaniom, doszło do tak nieprawdopodobnego zwycięstwa — to może i losy wojny potoczą się pomyślnie. Może to dobry omen, może się nie damy?«

No tak. Tysięczne tłumy, rozweselone zwycięstwem, opuszczały stadion.

Szedłem i ja wśród tego tłumu — pisze Wojciech Trojanowski — nie wiedząc jeszcze wtedy, że to po raz ostatni na długie, długie lata ludzie się głośno śmieją na warszawskiej ulicy. Że to już ostatni raz oglądałem w kraju sportowe widowisko, że już ostatni raz kłaniałem się na lewo i prawo tym ludziom, którzy mnie znali i naprawdę lubili.

Znów ludzie płynęli, jak rzeka, poprzez Górnośląską, Wiejską, Piękną, a nad ich głowami sumęły wysoko stada wron, wracających na noc z Łazienek do lasu na Bielanych.

Na zarośniętym skwerze placu Trzech Krzyży wiewcowały wróble, jednym okiem patrząc na wieżę kościelną, gdzie od lat siadywał wielki jastrząb. Gdy sfruwał,

¹¹ Tamże, s. 13—17.

¹² W. Trojanowski, zapis własny wspomnień z 12—19 XII 1987 r. (w zbiorach autora).

ptaszki świergocąc przeraźliwie spadały z drzew na ziemię, chroniąc się w szerokich bramach miejscowego targu. Zgrzytały na zakrętach czerwone tramwaje z otwartymi przyczepkami, które jeszcze pamiętały carskie czasy. Wewnątrz pobliskiej cukierni i przy wystawionych stolikach nie było ani jednego wolnego miejsca, a pod murami domów uliczni sprzedawcy zachęcali przechodniów.

Jedni, błyskając szkiełkami, krzyczeli:

Hej, lusterko na dwie strony:
I dla męża, i dla żony!

Inni, pociągając przyczepiony do muru sznurek, na którym podrygiwały drewniane pajacyki, darli się, chcąc tłum przekrzyknąć:

Hej, lalki, laleczki
Dla syna, córeczki.
Nie jedzą, nie piją,
A skaczą i żyją!

To była ostatnia spokojna niedziela w kochanej Warszawie. Koniec epoki¹⁸. Tak ją wspominał Wojciech Trojanowski.

*

„Król radiowych reporterów”, żołnierz polskiego Września, ppor. w 10 poznańskim Dywizjonie Artylerii Przeciwlotniczej, jako ochotnik stanął w obronie Warszawy. Ktoś napisał, że dla uzyskania lepszego pola ostrzału „wywindował swoje »czterdziestki« aż na dachy kamienic”¹⁴, a Jan Erdman finał tych zmagania z hitlerowską nawałnicą tak opisał po latach:

„Miasto dogasało, nalotów tego dnia nie było; dopiero później ustaliłem, że na świecie był 28 września. Dzięki Wojtka wstawiennictwu (ważną był figurą: podporucznikiem rezerwy artylerii przeciwlotniczej) dostałem się w czasie oblężenia Warszawy do baterii »Boforsów« i przez trzy tygodnie paradowałem w saperkach, fasowanej kurtce i cywilnych — ale zielonych — portkach. Spotkaliśmy się przed Politechniką we trójkę: mój brat (porucznik rezerwy artylerii najcięższej), Wojtek i ja.

Rozmawiałem z Okulickim — referował Wojtek. — O świecie rusza na Węgry. Nie namawiał, ale pozwala się przyłączyć.

— Na Węgry? Dlaczego na Węgry? — skrytykowałem pomysł »Niedźwiadka«, późniejszego dowódcy AK. — Sensowniej byłoby pchać się na Litwę lub Łotwę...

— Na razie — wtrącił się brat — proponuję zostać na miejscu. Mamy tu swoje mieszkania, możemy się przebrać w cywila i przeczekać. W tym bałaganie nikt się nie zorientuje, kto był w wojsku, a kto nie.

— Więc zostawisz baterię? Skorzystasz z tego, że masz cywilny garniturek pod ręką? Oni do niewoli, a my przeberzemy się i zostaniemy na wolności? Razem biliśmy się, razem chodzimy do obozów jeńców! Braterstwo broni obowiązuje. Co byłoby, gdyby wszyscy oficerowie rozumowali na swój sposób?

Przekonałem ich. Następnego dnia ruszyła przez Wolę pieszka kolumna obrońców Warszawy. Na polach pod Milanówkiem ustawiono nas w czworobok. Po godzinie nadeszły rozkazy.

— Oficerowie wystąp, szeregowcy i podoficerowie w tył zwrot. Warunki ka-

¹⁸ W. Trojanowski, *Od Konopackiej...*, s. 125—126.

¹⁴ Wojciech Trojanowski, „Dziennik Polski” [Londyn], 1988, nr 146.

pitulacji przewidują, że tylko szarże idą do niewoli. Reszta jest wolna, może wracać do domu.

Przez sześć lat — komentując to wydarzenie dodał Jan Erdman — nie miałem od Wojtka wieści, bo wkrótce zwinąłem manatki (tak, cywilny garniturek się przydał) i dołączyłem do Brygady Karpackiej (tak, przez Węgry), a korespondencja z jeńcami szła stamtąd opornie. Poza tym nie pchałem się z listami, bo nie byłem pewien przyjęcia. Z początku musiał mi złorzeczyć i wymyślać od idiotów, ale chyba stopniowo obóz przesuwał się do kategorii „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Do tej chwili nie potrafię powiedzieć, czy namawiając na obóz dwóch bliskich ludzi popełniłem straszliwe głupstwo, czy też ocaliłem im życie. Prawdopodobnie i jedno, i drugie”¹⁵.

Niewola. Ten okres bogatej biografii Wojciecha Trojanowskiego prześledziłem dość dokładnie i wnikliwie, gdyż w połowie lat osiemdziesiątych stał się on przedmiotem nieodpowiedzialnych spekulacji. Nie nastęczało to zresztą większych trudności, gdyż Trojanowski po krótkim pobycie w obozie jenieckim w Braunschweigu dostał się za druty kolczaste w Woldenbergu II c (1940—1945), a dzieje tego oficerskiego oflagu zostały dość szczegółowo opisane i posiadają bogatą literaturę. Szkoda jedynie, że najbardziej wnikliwa praca z tej dziedziny, Jana Olesiaka *Oflag II c Woldenberg 1940—1945*, nie została do tej pory opublikowana¹⁶. A w niej to właśnie, jako rzecz jasna skromny fragment, autor kompetentnie opisał i zanalizował wszelkie działania dotyczące wychowania fizycznego i sportu jeńców, których przeciętny wiek wynosił 33 lata (80,1% ogółu nie ukończyło czterdziestego roku życia).

Atmosferę wśród woldenberczyków tamtych dni oddaje fraszka ppor. Andrzeja Siły-Nowickiego, który w dniach kiedy w obozie trwała „Olimpiada” (23 VII—13 VIII 1944), a w kraju Powstanie Warszawskie, pisał:

Wciąż czekając, aż się zmieni nam dola zła,
Mecze tu rozgrywamy... A gracze i widze
Patrzemy, jak tam idzie bez nas Wielka Gra.
Ciągłe niestety — kibice”¹⁷.

A co w obozie porabiał Wojciech Trojanowski? Kim był dla swych towarzyszy niedoli?

To właśnie oni wspominają...

W. Ziemiński: „Trojanowski do łez wzruszał swymi *ad hoc* improwizowanymi transmisjami ze stadionu olimpijskiego, przypominając nam niezwykle sugestywnie moment zajęcia przez Kusocińskiego pierwszego miejsca w biegu na 10 000 metrów”¹⁸.

Z. Doruchowski: „Była to postać bardzo popularna w obozie, tak ze względu na swój wygląd, jak i fantastyczny sposób wygłaszania reportaży z imprez sportowych okresu międzywojennego, w których uczestniczył jako sprawozdawca radiowy, a które nam w obozie powtórnie przypominał. Zapominało się wtedy, że przebywa się w obozie, a miało się wrażenie, że siedzi się przed głośnikiem radiowym i słucha się znanego w całej Polsce popularnego Trojanowskiego, szczególnie gdy (celowo) wtrącał znane powszechnie swe powiedzenie: »Szkoda, że państwo tego nie widzą«. Chyba nie będzie przesady z mojej strony, jeśli

¹⁵ J. Erdman, *op. cit.*; tenże, *Droga do Ostrej Bramy*, Londyn 1984, s. 60—62.

¹⁶ J. Olesiak, *Oflag II c Woldenberg 1940—1945*, praca doktorska, UAM, Poznań 1979, maszynopis.

¹⁷ *Tamże*.

¹⁸ W. Ziemiński, *Wrzesień, oflag, wyzwolenie*, Warszawa 1962, s. 145.

stwierdzą, że Wojtek Trojanowski był znany przynajmniej połowie mieszkańców obozu, liczącego ok. 6700 oficerów, podoficerów i szeregowych”¹⁹.

K. Zimnal: „Jego [W. Trojanowskiego] żywotny organizm nie poddał się jenieckiej niewoli i niedoli. Już na przełomie listopada wraz z innymi zakłada Wojskowy Klub Sportowy, który przyjmuje nazwę »Orle«. Chociaż dzieliła nas różnica trzynastu lat, to łączyło nie tylko organizowanie WKS »Orle«, ale także tzw. »English University«. Drugi olimpijczyk z 1928 r., ale z St. Moritz — Tadeusz Ralf Adamowski [jeden z twórców międzywojennej potęgi polskiego hokeja na lodzie, reemigrant z USA — B.T.] był oficerem 14 Wielkopolskiego PAL (pułku artylerii lekkiej) z Bydgoszczy. On to właśnie, wychowanek Harvardu, zobowiązany przez kolegów, uczył angielskiego, stwarzając cały system »English University«.

Wojtek wraz z innymi znającymi już ten język — lepiej lub gorzej — rozpoczął tzw. wyższy kurs wraz z braćmi Lwem i Leonem Sapiehami, Koziebrodzkim i innymi kawalerzystami z mitrą w herbie (w Woldenbergu dołączył do nich aktor i reżyser Kazimierz Rudzki). W obozie Wojtek rozpoczyna dla podtrzymania ducha kolegów swoje niezwykle »wieczory autorskie«. Narażając się na represje władz niemieckich, w razie kontroli, iż przebywa w innym baraku, wędruje nocą. W zimie baraki zamykano już o godz. 17⁰⁰ i od tej chwili gość rozpoczynał seans kilkugodzinnej gawędy. Rozłożeni na swych barlogach jeńcy mogli się poddać całkowite magii słów sprawozdawcy radiowego. A był to naprawdę czarodziej słowa [...]. Była to wspaniała odtrutka na obozowe choroby. A wreszcie rok 1944, słynna obozowa olimpiada, w organizacji której Wojciech Trojanowski bierze oczywiście czynny udział”²⁰.

W publikowanych wspomnieniach jeńców oflagu II c Woldenberg odnotowano:

„W lipcu 1944 r. teatr wystawił wesołą komedię Niewiarowicza *Dlaczego zaraz tragedia?* Widzowie potraktowali ją jako dobrą rozrywkę w niezłym wykonaniu. W tym przedstawieniu reportaż »przez radio« z meczu bokserskiego nadawał autentyczny przedwojenny sprawozdawca sportowy, ppor. Wojciech Trojanowski”²¹.

A w innym miejscu:

„Nie wolno nam pominąć propagatorów sportu, którzy talentem swej wymowy do tych samych zmierzali celów. Przykładem tego rodzaju pożytecznej akcji może być m.in. świetny felieton ppor. Stanisława Mojkowskiego *Sport w krzywym zwierciadle* (15 sierpnia 1942) i niemniej świetnie wypowiedziany, choć w zupełnie innym utrzymaniu tonie, odczyt ppor. Wojciecha Trojanowskiego o Januszu Kusocińskim (5 maja 1942) w drugą rocznicę bestialskiego zamordowania go w Palmirach. Trojanowski często z dużą swadą opowiadał o rozmaitych międzynarodowych zawodach sportowych”²².

Tamte wydarzenia sprzed lat, w Woldenbergu, ożyły, kiedy odwiedziłem w Londynie Wojciecha Trojanowskiego na pół roku przed jego śmiercią. „Zawsze nad tym bolałem — wspominał wtedy — że nie pojechałem do Los Angeles i nie widziałem największego wydarzenia sportowego z okresu Polski międzywojennej. Ale ten bieg »Kusego« na podstawie rozmów z nim i innych relacji próbowałem sobie przez wiele lat »zapamiętać i utrwalić w swojej wyobraźni«. I nagle nadarzyła się okazja; aby w zupełnie niecodziennej scenerii, przed współtowarzyszami niedoli, dla pokrzepienia serc, to wszystko z siebie »wyrzucić«. Mówiłem, mó-

¹⁹ Z. Doruchowski, list do redakcji „Za wolność i lud” (z 17 I 1987).

²⁰ K. Zimnal, *Wojciecha Trojanowskiego już nigdy nie usłyszymy. Czarodziej słowa*, „Tempo”, 1988, nr 80.

²¹ *Oflag II c Woldenberg. Wspomnienia jeńców*, Warszawa 1984, s. 52, 90, 268, 315—316.

²² *Tamże*.

wilem, mówiłem... Temperatura mojej narracji rosła. Zapomniałem, gdzie jestem, bo »byłem« w Mieście Aniołów... »Kusy« odpiera atak Fina na przedostatnim okrążeniu... biegną razem... ale już wiadomo, że Polak jest doskonale przygotowany do tego manewru swego wielkiego rywala... Kusocińskiemu już nikt nie odbierze zwycięstwa... Meta niedaleko... Przewaga Polaka rośnie...

I nagle dostrzegłem — opowiadał Wojciech Trojanowski — że moi słuchacze wstają z miejsc i krzyczą: »Kusy!, Kusy!!, Kusy!!!« Zaczynam sobie zdawać sprawę, że oni już nie widzą mnie, że »widzą Janusza« na ostatniej prostej, że oczami wyobraźni prowadzą go do mety zwycięskiego olimpijskiego biegu. Czy może być coś bardziej wzruszającego dla radiowego sprawozdawcy w... niewoli?

Dobrze wyczułem atmosferę. To nie były brawa dla ciebie — mówiono mi zaraz po tej »transmisji«. To były brawa dla NIEGO. Dwa lata po JEGO śmierci... Dwa lata, kiedy — jak mówią słowa poety — mistrz wystartował w daleki dystans bez mety i taśmy”²³.

I czyż nie można zaryzykować twierdzenia, że Wojciech Trojanowski był kontynuatorem „żywego radia” za drutami Oflagu II c Woldenberg? Prawda, że zmniejszyła się tam wyraźnie liczba jego „abonentów”, ale kto wie czy siła oddziaływania jego „transmisji z życia” nie była silniejsza i bardziej potrzebna niż tych, które przeprowadzał z olimpijskich obiektów Garmisch Partenkirchen, Berlina czy zakopiańskiego FIS-u?

Ale takiej oceny mogli dokonać tylko i wyłącznie jego współtowarzysze okupacyjnej niedoli. A ich opinia była i jest jednoznaczna.

*

25 stycznia 1945 r. Niemcy ewakuują jeńców z Oflagu c Woldenberg forsownym marszem pieszym na przełaj, przez pola — na zachód. Część z nich, znosząc okrutny los, dotarła aż pod Hamburg i Lubeke, gdzie w pierwszych dniach maja została wyzwolona przez Aliantów. Trojanowski tam nie dotarł. Uciekł z tego „pochodu rozpacz i śmierci”. Chciał walczyć z Niemcami, wstąpił do armii angielskiej (176 Medium Artillery Regiment) i jako oficer łącznikowy służył w niej do końca 1945 r., kiedy to został zdemobilizowany. Postanowił nie wracać do kraju. Wybrał trudną i ciężką drogę emigranta politycznego. W 1946 r. wyjechał do Anglii. Pracował w różnych zawodach, m.in. jako menager Domu Lotników i sekcji teatralnej polskiej YMCA. Kiedy zbliżał się termin pierwszej powojennej Olimpiady w Londynie (1948), BBC zaproponowało mu współpracę. „Ponieważ jednak w Anglii szanowano zasadę *fair play* — wspominał Trojanowski — więc przeprasząc bardzo oświadczone mi, że muszę stanąć do konkursu z innymi kandydatami. Coś tam mówiłem, tłumaczyłem, pisałem i czytałem, a na zakończenie — próba żywego reportażu. Pan Mc Donald, wielka w tej instytucji figura, posadził mnie przed ekranem, na którym pokazał się film. Był to bieg 1500 m na olimpiadzie berlińskiej! W pełnym rozbawieniu zrobiłem z tego ognisty reportaż, siejąc faktami, nazwiskami i wynikami. Pan Mc Donald, znający dobrze język polski, był wyraźnie zdumiony, a ja mu rzekłem, żeby się nie dziwił, że ja mógłbym to samo powiedzieć siedząc tyłem do ekranu, gdyż po prostu ja już raz w życiu ten reportaż robiłem, tam na miejscu, w Berlinie”²⁴.

W ten sposób, podczas Igrzysk Olimpijskich w Londynie, rozpoczął się drugi, emigracyjny rozdział pracy króla sportowych reporterów PR okresu międzywojennego. Jeszcze cztery lata pracował w BBC, a następnie w latach 1952—1969 (przejście na emeryturę) jego głos „funkcjonował” na antenie monachijskiej rozgłośni Radia Wolna Europa, a także znacznie później, kiedy już jako „wolny strze-

²³ B. Tuszyński, *Janusz Kusociński, jakiego nie znamy. Palmiry*, „Przełąd Sportowy”, 1988, nr 98.

²⁴ W. Trojanowski, *Od Konopackiej...*, s. 127—128.

lec" obsługiwał wielkie wydarzenia i imprezy sportowe, aż do Igrzysk Olimpijskich w Montrealu (1976) włącznie.

O działalności rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa napisano już w Polsce wiele. Nie mam zamiaru powiększać grona „specjalistów” tego tematu. O Wojciechu Trojanowskim, jako pracowniku tej instytucji, nie napisano prawie nic. Trudno byłoby jednak ocenić zawodowe życie wielkiego reportera radiowego wyłączając z niego niezwykle płodny i znaczący etap jego pracy zamykający się w latach 1948—1976. Trojanowski w tym czasie zmienił w dość zasadniczy sposób podmiot swych zainteresowań (z 4000 audycji — ok. 80% nie dotyczyło sportu) i króla reporterów sportowych PR stał się „latającym reporterem” („travelling reporter”) RWE. Korzystając z nikłych źródeł emigracyjnych (krajowych w ogóle brak), spróbujmy choć w nikłym stopniu odtworzyć fragmenty radiowych emigracyjnych losów Trojanowskiego, które wkomponowane w całość jego biografii pozwolą na obiektywną ocenę jego zasług i wkładu w to, co nazywamy żywym reportażem radiowym.

Wojciech Trojanowski nigdy specjalnie nie zajmował się polityką, nie otrzymywał też w RWE żadnych specjalnych, politycznych ról, choć niewątpliwie trudno byłoby uznać, że jego twórczość należała do apolitycznych. Nic więc dziwnego, że pierwszy szef sekcji polskiej RWE Jan Nowak, w przeciwieństwie do innych współpracowników, poświęcił mu w swych wspomnieniach niewiele miejsca, pisząc: „Trojanowski, syn malarza, odziedziczył po ojcu talent malowania, wprawdzie nie pędzłem, lecz słowem. Słuchacz Trojanowskiego widział oczami wyobraźni to, co tamten barwnie i żywo relacjonował. Trojanowski zdobył sławę już przed wojną, ale w Polskim Radio był tylko sprawozdawcą sportowym [nie jest to zgodne z prawdą — B.T.J. Wykorzystując jego wyjątkowy talent, wprowadziłem dla niego tygodniową serię »Wędrujący reporter«. Był to program najkosztowniejszy ze wszystkich, ale wydatki na podróże Trojanowskiego, choć mocno obciążały nasz budżet, opłacały się sowicie”²⁵.

Inny redakcyjny kolega Trojanowskiego, Eugeniusz Romiszewski, tak rozwinął ten temat: „Nasze biurka były zestawione w redakcyjnym pokoiku. I zawsze twarz *vis à vis* była cierpiąca i znudzona, bo wtedy kiedy Wojtek przesiadywał za biurkiem, musiał robić audycje »szeszczące papierem«, czyli nie czerpać tematów bezpośrednio z życia, lecz posługiwać się relacjami z drugiej ręki. Czudło do tego odrazę i programowo wtedy uprawiał lenistwo, które uważał za zaletę prawdziwego dziennikarza. Gdy już termin oddania audycji był na karku, rozpaczliwie wypluwał z siebie na kartki papieru pośpiesznym drobnym pismem jakąś historyjkę, pędził do maszynistki, potem do »O.K.-eja« i wreszcie do studia, gdzie jednym tchem nagrywał na taśmę. Wracał »zrelaksowany«, z wielką ulgą, jak po wyrwaniu bolącego zęba.

Były to okresy jego wyczekiwania, jak lotnika na alarm do lotu bojowego, jak strażaka czekającego na pożar. I oto alarm: paperek z dyrekcji Radia wysyłający Wojtkę po żywy reportaż, nieraz na drugi koniec świata. Wtedy się nagle ożywiał, zrywał się do czynu. Już na jego biurku, nigdy nie skalanym maszyną do pisania, pojawiał się nieodzowny atrybut: *recorder* [magnetofon] »Nagra« — najlepszy w owych latach przenośny *recorder* reporterski, jak nazwa wskazuje — polskiej produkcji, ale ze Szwajcarii. I już Wojtek, raz-dwa gotowy do podróży, odjeżdżał na lotnisko, by wkrótce jego żywe słowo z bezpośredniej transmisji lub z nagrań na taśmę otwierało okna na szeroki ciekawy świat w naszym programie nadawanym do kraju, którego granice były wtedy jeszcze zamknięte na wszystkie [...] spusty”²⁶.

²⁵ J. Nowak, *Wojna w eterze*, Londyn 1985, s. 79—80.

²⁶ E. Romiszewski, *Książka wędrującego reportera*, „Orzeł Biały” [Londyn], marzec 1981, s. 31.

Z magnetofonem „Nagra” Wojciech Trojanowski objechał całą kulę ziemską. O czym mówił w tysiącach swych transmisji i reportaży?

Wierny pozostał przede wszystkim sportowi. Kochał go i z niego wyrósł. Nigdy go nie zdradził. „Pokazywał” więc lekkoatletyczne i bokserskie mistrzostwa Europy, puchary piłkarskie i mecze międzypaństwowe, turniej tenisowy w Wimbledonie (kilkanaście chyba razy), FIS-y narciarskie, zjazdy gwiazdzone do Monte Carlo (włącznie z poważną krakusą, którą miał jako uczestnik, startując z Edwardem Sokoppem), no i 15 Olimpiad (zimowych i letnich), od Amsterdamu 1928 począwszy — był tam jako zawodnik, nie radiowiec — a na Montrealu w 1976 r. kończąc. Wszędzie podczas tych zawodów był dobrym duchem polskich sportowców (jakkż często nie pozwalano mu z nimi spdytykać się i rozmawiać!), wszędzie i zawsze oplakiwał nasze porażki i niepowodzenia i cieszył się jak dziecko z sukcesów biało-czerwonych barw. Wzorem cnót moralnych i sportowych była dla niego Irena Szewińska. Mówił kiedyś: „Gdyby ktoś chciał sobie zamówić dziewczynę stworzoną do biegania, to właśnie otrzymałby Szewińską. Długie nogi o szalenie silnych udach. Lekki korpus, w który wbudowany jest »kompresor« na gwałtowne przyspieszenie i... Iwie serce do walki. Inteligencja, olimpijski spokój i piękne zachowanie. Oto cała Irena”²⁷.

Kiedy podczas Olimpiady w Rzymie (1960) ogłoszono zwycięstwo Amerykanina Crooka nad Tadeuszem Wałaskiem, mówił: „Chwila osłupienia, chwila ciszy przed wściekłym huraganem protestu. Publiczność szaleje w oburzeniu bezgranicznym. Powietrze wibruje od gwizdów, od ryku tysięcy piersi. Włosi nie chcą dopuścić do kontynuowania finałów, oblegają ring, chcą atakować zmykających sędziów... Ponad 20 minut trwa pandemonium, jakiego nigdy ani przedtem, ani potem nie znała historia Igrzysk”²⁸.

Wspominając walkę ciężarówceów podczas tych samych, pamiętnych dla polskiego sportu rzymskich Igrzysk, komentował: „O zwycięstwo walczą teraz Amerykanin James George i nasz Ireneusz Paliński. Obaj dokładają i dokładają, aż wreszcie... ddkłada już tylko Polak! Oto chwyta w dłonie jakąś niesamowitą, nieprawdopodobną masę żelaza. Przez chwileczkę jakby się nad tym ciężarem modlił, a potem zamienia się cały w napiętą masę mięśni, jakby w antyczną rzeźbę Herkulesa... Cały dygocząc unosi żelastwo wyżej i wyżej, aż wreszcie na wyciągniętych rękach trzyma ponad głową. Gwizdek — aprobata sędziów, a potem Paliński puszcza na ziemię tę masę żelaza, która zamienia się w polskie złoto!”²⁹

Komentując wydarzenia swojej ostatniej, piętnastej już, Olimpiady w Montrealu (1976), stwierdził m.in.: „O naszych siatkarzach mówią celowo bez końca, bo ich wola zwycięstwa przejawiana tyle razy w najbardziej krytycznych momentach chyba nie miała równej w dziejach naszego sportu. Jakż często oglądaliśmy w przeszłości obezwładniające kompleksy niższości i jakż przyjemnie zobaczyć, że to już chyba minęło.

»Never give up« — jak mówią Anglicy. »Nigdy nie rezygnuj, nigdy się nie poddawaj!« To jedna z najpiękniejszych zasad sportu, której nasi siatkarze dali naprawdę piękny wyraz.

Obok złotego powinni jeszcze wszyscy dostać medale specjalne za wielkie serce do walki”³⁰.

Takim „towarzyszem walki” był dla polskich sportowców na wszystkich stadionach świata Wojciech Trojanowski, także w latach 1948—1976. Ale w „przerwach” między sportowymi transmisjami coraz częściej zajmował się innymi tematami. Przede wszystkim jednak takimi, które łączyły się z Polską, z jej historią

²⁷ W. Trojanowski, *Od Konopackiej...*, s. 315.

²⁸ *Tamże*, s. 184—185.

²⁹ *Tamże*, s. 191.

³⁰ *Tamże*, s. 300.

i kulturą. Opisywał więc pole bitew — nie tylko Monte Cassino, Brede, Falaise, ale także Samosierę; szukał śladów Chopina na Majorce i oglądał wyciągany z dna Bałtyku okręt wojenny „Waza”, który trzy wieki przedtem wypłynął na wojnę z Polską i zatonął u samego wejścia do portu; studiował dzieła Kopernika w Uppsali, „piosneczki” Wybickiego we Włoszech i „był” z Sobieskim pod Wiedniem. A poza tym: brał udział w Kongresie Eucharystycznym w Barcelonie, w locie z szybkością dwukrotnie większą od dźwięku („Phantom”), w manewrach NATO, w wodowaniu pierwszego lotnikowca nuklearnego („Enterprise”), odwiedził Synaj, nim ostygły armaty, był na północ od kręgu polarnego i na południe od Głębokiego Południa w Stanach Zjednoczonych, nurkował w skafandrze w Katedracie, wiał do klatki z kobrami na Florydzie, latał samolocikiem po szczytach alpejskich, szedł z Asyżu śladami św. Franciszka, tropił tygrysy w Laosie (nie trafił) i statki kosmiczne na Przylądku Kennedy’ego (trafił na „Bliźnięta”).

„Do audycji, z których najbardziej jestem dumny — mówił mi podczas mego pobytu w Londynie Wojciech Trojanowski — zaliczam reportaż o śmierci Jana XXIII. Kiedy przyjechałem do Rzymu, wiadomo było, że godziny jego są policzone. Papieża widziałem niejednokrotnie na audiencjach, uwielbiałem go, uważałem za świętego, mówić więc miałem o stracie kogoś bliskiego. Byłem wstrząśnięty i przygnębiony. Zaparkowałem samochód w pobliżu bazyliki i radio nastawiłem na stację watykańską, bo stamtąd szły biuletyny o zdrowiu Ojca Świętego. Mijały godziny za godziną, papież męczył się straszliwie i konał powoli. Ojciec Flawiusz, spowiednik papieski, Polak, przychodził do mnie i uzupełniał komunikaty opisem tych ciężkich chwil. Po trzech dniach i nocach byłem już tak wyczerpany, że waliłem się z nóg. Otumaniony, półprzytomny, leżałem w kącie samochodu, wsłuchując się w monotony sygnał stacji — »Christus Vincit...« Nagle sygnał zamilkł: »Ojciec Święty nie żyje«. Nim skończyli wymieniać papieskie tytuły, byłem na placu. Nie potrzebowałem nic mówić: żal i rozpacz rozkołysały tłum. Kobiety płakały, darły szaty; Sycylijczycy, którzy biwakowali na placu od tygodnia, karmiąc się przywiezionymi pomarańczami, bili czołem w kamienne płyty; spiżowe bramy zatrzaskiwały się na cztery spusty; z bazyliki rozległy się dzwony żałobne, urywane, strwożone; a ja zbierałem te jęki, biegłem od jednej gromady do drugiej, od kraju do kraju, aż wreszcie natrafiłem na grupkę naszych nazaretanek, które głośno odmawiały »Ojcze Nasz«. »Niech mi siostry pozwolą przyłączyć się do modlitwy« — powiedziałem i ukląknę obok. Audycja wypadła wstrząsająco, była spontaniczna. Reporter zajmował daleki plan, do głosu doszły tragiczne wydarzenia”⁸¹.

Większość z tych pozasportowych wydarzeń i przygód przeniósł Wojciech Trojanowski z magnetofonowej taśmy na łamy książki, którą wydał pod koniec swego życia⁸². Wprawdzie radio nie sprzyja dobremu pisaniu, ale i tym razem Trojanowski wykazał jeszcze raz swoje mistrzostwo. Znany z ciętego pióra znakomity dziennikarz i pisarz, zamieszkały w Londynie Karol Zbyszewski, tak opisał autora i książkę:

„Kiedy Marco Polo napisał w Wenecji, w XIV wieku, swe wspomnienia z wieloletniej sensacyjnej podróży do Chin, czytano je chciwie, ale nie wierzono wcale w ich prawdziwość. Książd, spowiadający Marco Polo na łożu śmierci, powiedział mu:

— Synu, zeznałeś przykładowo wszystkie swe grzechy, prócz jednego. Przyznaj się, że wszystko skłamałeś o nadzwyczajnościach w swej podróży do Chin.

Umierający Marco Polo, ostatnim tchnieniem, wyszeptał:

— Nie napisałem nawet połowy tego, com widział i com przeżył!

⁸¹ W. Trojanowski, *zapis...*; zob. też J. Erdman, *Świat przez...*

⁸² W. Trojanowski, *Ach, jaka szkoda...*

Nie należy wątpić, że po dobieciu do setki lat z okładem Trojanowski mógł powiedzieć to samo.

Na ogół im mniej podróżnik wie, tym mniej popełnia omyłek w sprawozdaniu. Trojanowski jest wyjątkiem. Jechał na Samosierę, na Kahlenberg, do portu w Sztokholmie, do Saragossy itd. obkuty w historii dawnych tam wypadków. Jego relacje ze sławnych dla nas miejsc zadowolily nawet zrzęde-profesora.

»Kruk poleciał oglądać świat i wrócił równie czarny, jak wyruszył w podróż« — głosi angielskie przysłowie. Nie zawsze! Kto, siedząc w fotelu, wybierze się na przejażdżkę po świecie z książką Trojanowskiego, ten ją ukończy nieco lepiej poinformowany, pogodniejszy, mniej czarny. Podróżnicy przeważnie, jak poeci, są melancholijni, niezadowoleni. Trojanowski jest wszystkim zachwycony, sobą najbardziej. To optymista, widzi zawsze dobre strony, wszędzie jest *happy end*. [...]

Rzadka to rzecz, by mówione teksty radiowe wypadły udanie na papierze. Trojanowski, swą książką, dokazał tej sztuki»⁸⁸.

Być może, że kiedyś i czytelnicy w kraju będą mogli zapoznać się z tym wydawnictwem, podobnie jak i nie opublikowanymi do tej pory pamiątkami ze sportowych przygód Wojciecha Trojanowskiego. Ostatnim życzeniem wielkiego reportera radiowego było, by mogły się one kiedyś ukazać na łamach „Przeglądu Sportowego”. Stało się to realne wcześniej, niż mógł przypuszczać sam autor, choć „klimat” wokół jego osoby nie był w ostatnich latach najlepszy. Bolał nad tym schorowany, ponad osiemdziesięcioletni człowiek, tak bardzo związany z polską kulturą masową w kraju i na emigracji.

*

W studiach nad biografią Wojciecha Trojanowskiego, twórcy polskiego żywego reportażu radiowego, który narodził się na zawodach sportowych, nie może zabraknąć incydentu, który miał miejsce pod koniec jego życia. Był nim artykuł Stanisława Krawczyka zamieszczony w oficjalnym organie ZBoWiD „Za wolność i lud” pod tytułem *Kto był skuty z gen. „Grotę”?*⁸⁴ Jego autor, który jak sam pisze o sobie — „przez blisko 30 lat profesjonalnie zajmował się m.in. rozpracowywaniem działalności hitlerowskiego aparatu bezpieczeństwa w Polsce”⁸⁵, ogłosił rewelacje, które wstrząsnęły nie tylko środowiskiem byłych jeńców Oflagu Woldenberg II c. Ową wstrząsającą rewelacją był fakt, że... „Grotę” zadenuncjował długoletni współpracownik Abwehry (dosłownie: alte Abwehrmitarbeiter)... Wojciech Trojanowski, znany przed wojną w Polsce dziennikarz sportowy. On to właśnie, skuty z Generałem po aresztowaniu, został z ulicy Spiskiej przewieziony do gmachu Sipo w Alei Szucha i po odebraniu od niego niezbędnych wyjaśnień dyskretnie zwolniony. Choć datę aresztowania bohatera narodowego i przywódcy Polski Podziemnej zna prawie każdy w kraju, przypomnę, że miało to miejsce 30 września 1943 r. w Warszawie. Teraz jasne się staje, dlaczego z taką pedanterią śledziłem wszystkie poczynania Wojciecha Trojanowskiego za drutami Oflagu Woldenberg II c w latach 1940—1945. Niestety, nie dokonał tego, nawet w minimalnym stopniu, Stanisław Krawczyk, który posadził Bogu ducha winnego człowieka o najcięższą zbrodnię. Jego metody badań faktów historycznych i szukania prawdy urągają także podstawowym obowiązkom badacza oraz wszelkim dobrym obyczajom.

⁸³ K. Zbyszewski, *Kartki we czwartki. Z mikrofonem przez życie*, „Dziennik Polski” [Londyn] z 2 IV 1981.

⁸⁴ S. Krawczyk, *Kto był skuty z gen. „Grotę”?*, „Za wolność i lud”, 1986, nr 39.

⁸⁵ S. Krawczyk, *O sprawie ujęcia gen. „Grotę” — bez emocji*, tamże, 1987, nr 38.

Oczywiście, jak się można było spodziewać, artykuł ten wywołał natychmiastową reakcję woldenberczyków. Redakcja została zmuszona do drukowania listów współtowarzyszy niedoli Trojanowskiego: A. Blomberga, A. Zarudzkiego, S. Poznańskiego, Z. Kurkowskiego, J. Kukuczka, A. Czerwińskiego, J. Kuropieski, M. Brandysa, Z. Turlaka, J. Wadeckiego, J. Hryniewieckiego, W. S. Domańskiego³⁶ i innych b. jeńców, którzy nie musieli udowadniać, że Trojanowski nie mógł być na Spiskiej, kiedy siedział z nimi za drutami w Woldenbergu. Do debaty na ten temat włączyli się historycy³⁷ i — niestety — niezbyt liczni publicyści, w których imieniu z ogromną troską i odpowiedzialnością za interpretację ludzkich losów głos zabrał Ryszard Marek Groński³⁸. List z Londynu przesłał również do redakcji „Za wolność i lud” leżący już w łóżku po dwóch operacjach serca Wojciech Trojanowski, pisząc w nim krótko, że z gen. „Grottem” nigdy w życiu się nie spotkał, a że z tego, iż był agentem Abwehry, nie ma się zamiaru tłumaczyć, gdyż jest to tylko jedno z długiego szeregu bezwstydných kłamstw i bezsensownych domysłów autora artykułu³⁹. Wreszcie po kilkunastu miesiącach głos zabrał ponownie Stanisław Krawczyk, który w artykule *O sprawie ujęcia gen. „Grotta” — bez emocji* nie ujawnił zapowiadanych wcześniej przez redaktora naczelnego „specjalnych materiałów”, a oświadczył, że „nie podtrzymuje nadal wysuniętego przez siebie twierdzenia, jakoby Wojciech Trojanowski był współpracownikiem Abwehry i był tym, który wskazał Niemcom gen. „Grotta”, a skutki z nim, został przewieziony do siedziby Sipo w Warszawie”, i że „za moralny uszczerbek spowodowany publikacją na powyższy temat — pana Wojciecha Trojanowskiego publicznie przepraszam”. Uczyniła to także redakcja, zaznaczając jednocześnie, że „gdyby w sprawie wydania gen. »Grotta« zaistniały jakieś nowe elementy dotyczące meritum — powrócimy do niej”⁴⁰.

Wydaje się jednak, że wyjaśnienia i przeprosiny nie załatwiają całej sprawy. Chciałbym zwrócić uwagę na szersze i znaczące jej aspekty, które muszą poruszyć każdego uczciwego człowieka.

1. „Punktem wyjściowym” (inspiracją) artykułu S. Krawczyka, w którym posądził W. Trojanowskiego o najcięższą zbrodnię, była relacja z rozmowy dwóch wysokiej rangi hitlerowców (szefa Sonderkommanda IV AS w Warszawie Alfreda Spilkerza z Hauptsturmführerem SS w Radomiu Paulem Fuchsem), której przysuchiwała się „trzecia osoba”. Kto mógł być świadkiem rozmowy, w której ujawniono nazwisko agenta? Komentarz jest chyba zbyteczny, ale... Jak to przyznaje S. Krawczyk, „jej imię, nazwisko, a także inne dane umożliwiające identyfikację nie zostały w publikacji ujawnione, ponieważ chroni ją KATEGORYCZNA zasada tajemnicy zawodowej autora materiału prasowego, określona w art. 15 ust. 2 Ustawy z 26 I 1984 r. — Prawo Prasowe. Świadek zastrzegł sobie nieujawnianie swego imienia i nazwiska, a tzw. inne okoliczności zwalniające z zachowania tajemnicy nie zachodzą. A poza tym nie należał on na to, abym powołał się na jego relacje w prasie. Była to wyłącznie moja inicjatywa”⁴¹.

2. Wojciech Trojanowski odpis listu, który skierował do redakcji, wysłał do Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Stał się on podstawą do wszczęcia postępowania wyjaśniającego. Jego wyniki przesłał do redakcji „Polityki” (zainteresowanej

³⁶ Listy woldenberczyków drukowała redakcja „Za wolność i lud” w numerach 1, 2 i dalszych z 1987 r.

³⁷ W. Kopczyk, J. Wilamowski, *Ujęcie gen. „Grotta” — niemiecki majstersztyk*, „Za wolność i lud”, 1987, nr 16.

³⁸ R. M. Groński, *Kto wydał „Grotta”!*, „Polityka”, nr 31 z 5 IX 1987.

³⁹ W. Trojanowski, *W sprawie artykułu „Kto był skutny z gen. „Grottem”*, „Za wolność i lud”, 1986, nr 51—52.

⁴⁰ *Od Redakcji*, tamże, 1987, nr 38, s. 12.

⁴¹ S. Krawczyk, *O sprawie ujęcia...*

w sprawie w związku z felietonem Ryszarda M. Grońskiego) przewodniczący Głównego Kolegium Rzeczników Dziennikarskich SD PRL, Antoni Maciejewski. W piśmie wyjaśniającym pisze on m.in.: „Okazało się, że autor artykułu Stanisław Krawczyk nie jest dziennikarzem w rozumieniu § 7 Statutu Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, tym samym nie podlega właściwości sądownictwa dziennikarskiego”⁴².

3. Można było przypuszczać, że za tę przerażającą beztroską będzie odpowiedzialny redaktor naczelny pisma ZBoWiD „Za wolność i lud”, który — jak mnie osobiście zapewniał — dysponuje „odpowiednimi materiałami”. Ale też nie!

W tym samym oświadczeniu przewodniczącego Głównego Kolegium Rzeczników Dziennikarskich SD PRL napisano: „Również redaktor, który zakwalifikował artykuł do opublikowania, nie podlega ściganiu dyscyplinarnemu wobec treści art. 7 Dziennikarskiego Kodeksu Obyczajowego, który stanowi, że za wykroczenia przewidziane w tym Kodeksie odpowiada rzeczywisty sprawca”.

A więc winnych zabrakło. Nie omieszkało jedynie dodać:

„Niemniej trudno nie wyrazić poglądu, że redaktor, który podjął w tej sprawie decyzję, nie zachował należytej ostrożności i staranności, kierując się raczej sensacyjnością jego treści niż troską o dobre imię osoby, pomówionej wręcz o zbrodnię [podkr. autora].

W tym stanie rzeczy poinformowałem w swoim czasie pokrzywdzonego Wojciecha Trojanowskiego o aspektach formalno-prawnych sprawy i że służy mu dochodzenie ochrony jego dóbr osobistych na drodze postępowania przed sądem powszechnym”⁴³.

Kiedy te dobre rady dotarły do Londynu, Wojciech Trojanowski nie wychodził już z domu i rzadko podnosił się z łóżka. Gdy odwiedziłem go pod koniec 1987 r., dużo mówił na temat tego „niepojętego oszczerstwa” i o tym, że „jak pan widzi, wytoczenie sprawy o zniesławienie jest praktycznie niemożliwe”⁴⁴.

Komentarzem do całej tej sprawy niechaj pozostaną chociaż ostatnie zdania felietonu Ryszarda Marka Grońskiego:

„Dopóki troska o prawdę nie wysunie się na plan pierwszy, dopóki nie rozstaniemy się z metodami dyskredytacji przeciwników i ustawiania ich sobie do ciosu — jeszcze nie raz i nie dwa będziemy świadkami pochopnie ferowanych wyroków i przyklejania etykiet wyciąganych z lamusów. Nie wszyscy, co tak ochoczo rwą się, by wypełniać białe plamy, mają czyste ręce”⁴⁵.

Wojciech Trojanowski zmarł w Londynie 16 czerwca 1988 r., w pół roku po zakończeniu tej brudnej i plugawej afery, której finał, jak mogliśmy się przekonać, odbył się w „majestacie prawa”.

⁴² R. M. Groński, *op. cit.*

⁴³ *Tamże*.

⁴⁴ W. Trojanowski, zapis... oraz listy W. Trojanowskiego z 8 XI 1986, 4 II i 11 IX 1987 w zbiorach autora.

⁴⁵ R. M. Groński, *op. cit.*